



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.
Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 30 Marca
(11 Kwietnia) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Na wyżynach (wiersz). — Z tygodnia. — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Odczyty. — Odwrotna strona medalu. — Nagoda, Za czarne oczy, nowela (dalszy ciąg). — Zakład Świętej Marty. — Piśmiennictwo. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. **W dodatku:** Wprowadzona w wielki świat, powieść przez Hamiltona Aide, przekład K. P. (arkusz 1).

NA WYŻYNACH.

Tu piękno! tu rozkosz, tu chętnie zostanę,
By duszą spragnioną pić blaski świetlane,
Tu myśl ma, w uroki przyrody wpatrzona,
Do słońca jasnego wyciąga ramiona...

* * *

O! dosyć już dla mnie tych mętów i kału,
Co kropla po kropki spływały pomału
Do serca, aż ono, tym kałem zbrukane,
W goryczy palącej jątrzyło swą ranę...

* * *

Uderzę znów w struny swej lutni młodzieńczej,
Niech pieśnią serdeczną radośnie zadźwięczy
Dawne... niknące już echa przywoła!

* * *

Niech grom mnie obali!... niech płomień ogarnie!
O! lepiej tu zginąć, niż pełzać tam marnie
Wiecznie w kałuży ocierać brud z czoła...

Nie wrócę w te życia niziny i mroki,
Gdzie blaski słoneczne ciemnieją i gasną,
Gdzie dusza zapada w sen smutku głęboki,
Gdzie duszno, gdzie szaro, do lotu tak ciasno.

* * *

I z chmur tych krainy potężnej, wysokiej,
Zachwytem natchniony, zapalęm zuchwały,
Ja z wami pobiegnę, o górskie potoki,
Z tym szumem, z tą siłą, co łamie moc skały.

* * *

A później powrócę na skrzydłach sokoła,
Gdzie groźne olbrzymy chowają swe czoła,
Gdzie burza pioruny i gromy swe mieści.

Antoni Piłcki.

Z TYGODNIA

Ruch świąteczny przebrzmiał i usnął. Zimno i niepogoda odjęły mu bardzo wiele z jego wesołej uroczystości. Przedsiębiorcy igrzysk na Ujazdowie uczuli to dotkliwie i wyrodziła się pomiędzy nimi ważna kwestya: ażali warto będzie na przyszłość urządzać dla tłumów to, co im już za- nadto widocznie spowszedniało i od czego odwraca- ją się lekceważąco?

Zdarzyło mi się niedawno słyszeć i inną kwestyą, zestosunkowaną również z obchodem świątecznym. Pewna wiejska pani, sama gosposia co się zowie i mistrzyni w przyrządzaniu święconego, zaręczała, że gdyby mieszkała w mieście, gdzie wszystkiego po sklepach dostać można, aniby słyszeć chciała o wę- dzeniu, peklowaniu, pieczeniu i gotowaniu.

Podobno też wiele bardzo Warszawianek idzie za takim zdaniem, ale żeby nie odstępować od trady- cyi przekazanej przez babki i prababki, kupne przy- smaki podają za arcydzieła roboty własnej. Gość dyskretny udaje, że się na podstępie nie poznał, je i chwali, a pani X. lub Z. przyjmuje hymny po- chwalne tak szczerze i prostodusznie, że kto podej- rzliwym nie jest, niczego się nie domyśli.

Onego czasu działo się tak, iż święta wielkanocne były, ze swoim jedzeniowym obchodem, czemś wró-

dzażu egzaminu lub popisu, w którym panie i gospodynie domów składały dowody swej umiejętności, skrzętności i pomysłowości. Były to popisy nieraz bardzo kosztowne, kłopotliwe, a często i opłacone łzami, opłacone gorączką zawodu. Do wielkanocnych przygotowań powoływano rodzinę całą, od głowy domu poczynawszy, do jego najdrobniejszych paluszków. Krętanina trwała przez dni kilka, poczyniała się ze świtem, kończyła z mrokiem, ba! z nocą nawet! A gdy już arcydzieło wyszło z pieca i znalazło się w świątecznym ordynku na suto przybranym stole, gdy prosię z jajkiem w zębach poczęło się uśmiechać do olbrzymiej baby, ulukrowanej i ubielonej jak najwykwintniejsza elegantka, znaczyło to, że nadeszła godzina odpoczynku i... migreny i że teraz można już oczekiwać wesolego *Alleluja*, którego tryumf gospodarsko-kuchenny będzie rozkoszą dla języków, podniebień i żołądków.

Tradycja taka święci się jeszcze w niezachwianej okazałości na Starem mieście i na Powiślu, ale co się tyczy dzielnic nowszych miasta, to mam silne podejrzenie, że podtrzymują ją tam cukiernicy, pa-sztetnicy i inni smakorobowie.

Do niektórych jednak domów ci pracownicy fabrykańci wciskają się cichaczem i pociemku, bo tak im zapowiedziano, aby domowa umiejętność i gospodarność na opinii nie poszwankowały. Jeżeli bowiem istota rzeczy bardzo już zwietrzała, to idzie jeszcze o cień... o honor, którego i wtedy jeszcze bronić należy, kiedy już... „*tout est perdu*.” Honor bowiem jest i będzie po wsze czasy najcenniejszym skarbem dla wielu bardzo umysłów, ogołoconych z wielu innych skarbów, o wiele prawdziwszych. Można się o tem przekonać, przysłuchawszy się uważnie najświeższej nowości na warszawskiej scenie. Nosi ona miano „Honor” i jest satyrą... świdrującą w sercach obłudników nawskróś. Obłuda bierze tu ciągi tak bolesne i wszechstronne, że mogłaby po nich drapać gdzie pieprz rośnie, gdyby uczciwie umiała dbać o skórę własną.

Suderman, autor sztuki, bardzo śmiało i ryzykownie, a wbrew opinii powszechnej, twierdzi, że honor jest tylko istotnie cieniem, który pada od nas w chwili, gdy nas oświeca szacunek ludzki... Dla tego cienia ludzie karki kręcą, sobie i innym we łby strzelają, wytwarzają różne obowiązki niemające nic wspólnego z moralnością, tworzą prawa, które mają wszelkie pozory nadużycia i gwałtu. Dla tego cienia krzywdzicie wdów i sierot są najpункtualniejszymi płatnikami długów karcianych, oszczercy najprawdomówniejszymi rycerzami w sprawach najdrażliwszych, tchórze odważnymi bojownikami w rzeczach tak zwanej „czci osobistej,” która nie kurczy się wcale, gdy popełnia niegodziwość, ale nie znosi machnięcia rękawiczką przed nosem. Autor niemiecki w sztuce swojej nagromadził takie mnóstwo rysów i szczegółów, ilustrujących kwestyą honoru, że ukazał ją prawie wszechstronnie. Z zestawień i obliczeń wypadło mu jak dwa a dwa cztery, że ludzkości ucywilizowanej na wszelkich szczeblach i stanowiskach wystarczyłyby najzupełniej obowiązek i że pojęcia honoru, niesłuchanie chwiejne i zmienne, niezmiernie zależne od chwili, pozycyi towarzyskiej, kasty i wartości osobistej jednostek, stanowią tylko potężny środek zacieśniania głów i sere i mącenia stosunków.

Nawiasem dodam, że „Honor” Sudermana w literaturze scenicznej jest zjawiskiem wyjątkowej doniosłości i że wystawienie go na scenie warszawskiej stanowi cyfrę dodatnią w działalności teatru.

Natomiast ujemną jest zejście z widowni literackiej jednego pisma, które żyło krótko, bo tylko lat kilka, celów swoich osiągnąć nie zdołało i straciwszy wiarę w przyszłość, przeszło do krainy pozagrobowej wspomnień. Mówię tu o „Życiu,” co tydzień temu, pożegnawszy nielicznych swoich abonentów, był swój zakończyło.

Pismo to miało krzewić i umacniać smak dobry i wistocie pierwociny jego istnienia bardzo gorliwie w tym kierunku zdążyły. Przeszedł rok zgórą na takiej zaszczytnej pracy, poczem już z prądem złego smaku, bardzo ogólnym, walka stała się niemożliwą. Dla bytu trzeba było zmienić tryb działania, ale przy zmianie racya jego uleciała, „Życie” stało się piątem kołem u woza. A tak szło już tylko ku pochyłości zgubnej, za którą śmierć.

Szkoda, wielka szkoda! Tyle jest czynników krzewienia zgnilizny estetycznej, że ten jeden działacz dodatni mógł być i powinien znajdować poparcie. Pokazuje się jednak, że był dla mas zbyt cennym i że miejsca dla niego nie starczyło.

Co miało wpaść w wodę, wpadło i powierzchnia, na chwilę zakłócona, wygładziła się. Taki to już porządek na świecie i na miejscu ubytków ukazują się przybytki, a tak suma ogólna bywa jednaką.

Właśnie o przybytku mówić będę. Wprawdzie niema on żadnej wspólności z „Życiem” i literaturą, a nawet z życiem wogółności naszym, ale jest cyferką dodatnią i w tej chwili dosyć zajmującą.

To „*armonipiano*” pana Hlavacza, to fortepian posiadający mechanizm, obmyślony ku przedłużaniu dźwięków (*prolongement*) i osiągnięciu jaknajmożliwszej ekspresji. Mechanizm ten zależy na listwie z młoteczkami, umieszczonej pod strunami; za nacisnięciem odpowiedniego pedału wprawia się ową listwę w drgania pionowe, niesłuchanie szybkie, które ruch struny po uderzeniu klawisza utrwalają. Inny pedał służy do wzmacniania lub zwątlania dźwięków, więc pośrednio do wywoływania ekspresji. Siłę tonów przedłużonych, akordów bardzo złożonych i pełnych, można tu doprowadzić do *maximum*. Huczają wtedy, jak gromy.

Czy tak udoskonalony fortepian pana Hlavacza popchnie naprzód grę fortepianową, to się dopiero ukaże w przyszłości. Artyści kręcą głowami z wątpiewaniem. Udoskonalenie mechanizmu świetne, z bogaceniem instrumentu niewątpliwe, ale skrzywienie techniki dotychczasowej nieuniknione. Przy nabyciu wielu nowych efektów fortepian w dzisiejszym charakterze swoim cofnąć się musi koniecznie, a wprowadzenie czynników dotąd mu obcych i efektów nieprzystępnych ograniczy z pewnością rozwój w kierunku, w jakim się odbywał.

Ze względu na porę, zatracającą wiosną, choć podmuchami swemi blizką późnej jesieni, na porę która rozpoczyna wędrówki eksploracyjne za mieszkaniem letniami, radbym tu coś pewnego donieść o kolei konnej do Wilanowa. Pewnego jednak nie ma nic. Wytyka się linią, przygotowuje się budowę, ale ze względu na potrzebę zbudowania kilku mostów, roboty te przygotowawcze uległy na teraz zwłoce. Bowiem na wznoszenie mostów osobnej trzeba sankcyi, a tej dotąd nie wyjednano. Jeżeli się jej nie uzyska jaknaprędzej, kolej do Wilanowa na rok obecny istnieć nie może i słodko marzący Warszawiacy będą musieli poprzestać na dystansie między miastem, a Czerniakowem.

W jednym z listów ciekawa agospodarna korespondentka zapytuje nas o zaleconą w naszej kronice fabrykację jabłeczników, win owocowych i t. d. Radziłyśmy z całego serca odpowiedzieć jaknajsumiennie i jaknajumiejtniej i dlatego prosimy szanowną swoją korespondentkę, aby się udała po wła-

ściwe informacje do Towarzystwa ogrodniczego. W sprawie owocarstwa i jego przerobów zarząd tego Stowarzyszenia nigdy nikomu światłej rady nie odmawia...

Maryusz.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Ułożywszy się na łóżku, poczuł, iż osłabienie się zwiększa. Trzeźwił się wodą, choć już ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Bał się, że może umrzeć. Skreślił więc wówczas owę kilkuwierszową kartkę, wyciągając ołówek z kieszonki od kamizelki, której już zapomniał ułożyć na właściwym miejscu. Spoczywała ona na kołdrze, tuż pod opuszczonymi bezwładnie jego rękami. A kreśląc kartkę, łudził się jednak nadzieją: „Chyba jeszcze nie umrę.”

Kobiety, które odstąpiły już były od fatalnych drzwi, wróciły nanowo z przyjściem rewirowego i z otwarciem mieszkania. Zebrało się nawet kilku mężczyzn.

— Biedny radca! — westchnął jeden z sąsiadów, także emeryt, dając nieboszczykowi ten tytuł, przyznawany mu niekiedy w gronie bliższych znajomych, a będący pamiątką dawnej jego służby urzędowej. — Biedny radca! Mieliśmy się zejść jutro na partyjkę u Łopatkiewicza!

Rewirowy kazał zamknąć mieszkanie, polecił czuwać nad niem przybitemu tym wypadkiem Wincetemu, spisał nazwiska świadków, którzy wraz z nim najpierw do mieszkania weszli, i przed udaniem się z raportem do władzy, wstąpił do gospodyni domu. Uważał to za akt osobistej grzeczności, której jednak nie chciał w tym razie zaniedbać.

Pani Kamilla czekała już na niego, pełna niepokoju. Sprawa ta zadługo się ciągnęła, aby głucha wieść o wypadku nie była już do niej doszła za pośrednictwem służby i sąsiadów. Ledwie też rewirowy drzwi od kuchni otworzył, wybiegła z sąsiedniego pokoju:

— Panie, panie łaskawyl! — zaczęła zmieszana. — Więc to... to... prawda?

— Tak, tak! — potwierdził rewirowy. — Zmarło się staremu!

Pani Kamilla załamała ręce.

— Bo to możeby jeszcze próbować... możeby trzeźwić...

— Jakże! — odrzucił rewirowy, nadając głosowi swemu jakąś cechę urzędową, nie pozwalającą na żadne pertraktacje. — Przecie zimny, jak lód, a sztywny gorzej drewna! Zmarł, zmarł!

W oczach pani Kamilli zaświeciły łzy.

— Boże, Boże! — rzekła.

Drzwi od pokoju uchyliły się znowu i do kuchni, gdzie odbywała się ta rozmowa, wsunęła się śliczna panienka, ubrana, jak i matka, w ranny szlafroczek, na który, a właściwie na rozplecione do czesania ciemno-blond włosy, narzuciła małą włóczkową chusteczkę. Wyższa od matki prawie o głowę, więcej też gibka, z ruchami łaszacej się kotki, tętniąca młodością i zdrowiem, które przeglądało z niebieskich, uśmiechniętych oczu, czyniła wrażenie upo-

stacjonarnego w ludzkim ciele wiosennego poranka.

— Więc to prawda, mamusi? — szepnęła cichutko, z żalem, stając poza matką i broniąc się w ten sposób od wzroku gościa, który przynosił tę smutną nowinę.

Pani Kamilla, miast odpowiedzi, poczęła oczy ocierać cienką, batystową chusteczką.

— No, mamusi! Przecie się to już na nic nie zda! — mówiła dziewczę, pochylając główkę na ramię pani Kamilli i starając się temi słowami łyzy jej zażegnać.

Sama nie miała łez w oczach, owszem, z za pleców matki patrzyła z pewną dziecięcą jeszcze ciekawością na gońca tej wieści.

Po chwili jednak, mimowolnie jakoś, wyrwało się z ust dziewczęcia:

— Biedny starowina! Tak go lubiłam!... i on mnie lubił... i tatuś, pamiętam przecie, bardzo go lubił... i Zdziś, ach, Zdziś... Strzelali przecie razem tego lata!

Tyle było powściągliwego, trzeźwego uczucia w tych prostych słowach, że nieboszczykowi mogły one być starczyć za najwspanialszy nekrolog.

Niestety, pan Ignacy Dąbrowski nie mógł już ich słyszeć!

Rewirowy tymczasem, nie biorąc udziału w tej cichej żałobie, która uwidoczniła się tu w łzach matki i słowach córki, poczęł urzędowym głosem recytować pośpiesznie, co i w jakim stanie znalazł w mieszkaniu nieboszczyka.

Gdy przyszło do opowieści o znalezieniu kartki, pani Kamilla zawołała z zaciekawieniem:

— Al. więc jest jakiś testament? Więc biedak wiedział, że umiera?

— Nie jest to testament — odparł gość, — ale zawsze tak, jakby testament.

I spoglądając do swego notatnika, dodał:

— Zapisał wszystko Konradowi Dąbrowskiemu, bratankowi.

Zaledwie ostatnie słowo przebrzmiało, z ust dziewczęcia wyrwał się stłumiony okrzyk:

— Ach, to on!

Trzy te wyrazy zlały się w jedno westchnienie i były wyrzeczone tak cicho, że zaledwie można je było rozeznąć. Mimo to, panienka zarumieniała się bardzo i czując potrzebę jakiegokolwiek usprawiedliwienia, poczęła wyrażnie:

— To ten śliczny... to ten młody student — pochwiliła czempredzej — co tu raz był, pytając o pana Dąbrowskiego... A potem, mamusi, potem przechodził przez podwórze, bo mu pan Dąbrowski kazał zaczekać w swoim mieszkaniu i... i... oglądał się na nasze okna...

A zawstydzona jeszcze bardziej tem bezładnem objaśnieniem, dodała obojętniej:

— To... to... to z pewnością ten student!

Pani Kamilla spojrzała na córkę zdziwiona.

— Nic mi nie wspomniałaś, Maniutko, o tem spotkaniu — odezwała się po francuzku, głosem, w którym obok wrodzonej łagodności, brzmiał przecie odcień lekkiego wyrzutu.

Dziewczyna zaplotła rączki na szyi matki i przytulając rozpaloną główkę do jej twarzy, odparła cichutko:

— Mamusi wtedy nie było w domu... potem zapomniałam jakoś... Zresztą...

Nie dokończyła, rewirowy bowiem przerwał, mówiąc, że musi się śpieszyć.

— Ja tu jeszcze nieraz dziś wrócę — dodał. — A teraz czas mi już w drogę!

Po jego odejściu, pani Kamilla, przeszła do buduaru i zasiadłszy przed toaletą, aby dokończyć

przerwanego czesania, odezwała się do córki:

— Nic nie wiedziałam, że Dąbrowski miał krewnych... Przez tyle lat nigdy o nich nie wspominał.

Manusia milczała przez chwilę, chodząc po buduarze, jakby starała się zyskać na czasie i zapamiętać nad sobą.

— I ja też tylko przypadkiem to odkryłam — odezwała się wreszcie, siadając na kozetce, zupełnie już swobodna. — Było to, widzi mamusia, w Czerwcu, gdyśmy się wybierali na letnie mieszkanie... Pan Dąbrowski szukał w kancelaryi tatusia nieboszczyka jakichś papierów i ja mu pomagałam. Naraz ktoś do drzwi zapukał i zanim odezwaliśmy się z czemkolwiek, drzwi się raptownie otwały i na progu, w czapce studenckiej na głowie, stanął młody człowiek. „Przepraszam stryjaska — zawołał, — ale dzisiaj jeszcze wyjeżdżam... Chciałem stryja pożegnać...” Za nim stał właśnie Wincenty, który go tu widać przyprowadził, bo mówił: „A ot, pan rządca...” Ale pan Dąbrowski, że to zawsze był mrukliwy, odezwał się gniewnie: „Tu nie moje mieszkanie! Ruszaj na górę i czekaj, a jak ci pilno, to się wynoś na złamanie karku...” Tak powiedział, jak mamusię kocham!

Pani Kamilla, nie przerywając czesania, słuchała z widocznym zaciekawieniem.

— I cóż się stało? — spytała.

— Wtedy dopiero — ciągnęła dalej dziewczyna, otulając się chusteczką, jakby uczuwała chłód na samo wspomnienie tej sceny, — wtedy dopiero, mamusi, student ten mnie zobaczył... „Przepraszam” — rzekł i cofnął się czempredzej. Ale nim drzwi za sobą zamknął, pan Dąbrowski zdołał jeszcze zawołać: „A cóż egzamina?” — On więc znów drzwi uchylił i, uśmiechając się, rzekł: „A cóż stryj o tem myśli?” — „Pewnieś przepadł, ładac!” — spytał pan Dąbrowski. On znowu się uśmiechnął, a nawet zaśmiał się wesoło: „Ot, będzie stryj miał niespodziankę — rzekł — bom przeszedł...” I znów, jakby sobie o mnie nanowo przypomniawszy, uklonił się, mówiąc: „Przepraszam...”

Zamilkła, a po małej pauzie dodała ze smutkiem:

— I poszedł.

Pani Kamilla, zasłuchana, odwróciła się od toalety i patrząc przenikliwie na powleczone zadumą oblicze córki, odezwała się po chwili:

— Jak ty to dokładnie pamiętasz, moja Maniutko!

Dziewczę znowu zarumieniało się na tę uwagę.

— Bo, bo... widzi mameczka... to było takie... takie... zabawne!

Milczenie zaległo przez chwilę buduar. Słychać niemal było nawet przesuwanie się grzebienia wśród zwojów delikatnych włosów pani Kamilli.

— I nie pytałaś później kiedy pana Dąbrowskiego o tego chłopca? — przemówiła znów matka.

— Pytałam... zaraz pytałam... jak tylko wyszedł. Ale pan Dąbrowski nie chciał o nim mówić... „Ot, ładaco, panno Maryo” — rzekł tylko. Wtedy też i papiery zaraz się znalazły, więc staruszek podziękował mi za pomoc, kazał przeprosić mamę, a raczej zawiadomić, że wziął jakieś stare akta z kancelaryi, i poszedł do siebie. W kwadrans niecały już obaj wracali i wtedy-to on... ten młody... przechodząc przez podwórze, spoglądał wciąż na nasze okna... A staruszek, jakby zły był na niego, mówił coś przez drogę i machał rękami... Oni nie musieli się bardzo lubić, mamusi — zakończyła, pogrążając się znów w zadumę.

A zaduma ta tym razem naseryo zaniepokoiła panią Kamillę. Wpiąwszy ostatnią szpilkę we włosy i przyjrzaawszy się w lustrze swojemu dziełu, podeszła do kozetki, na której siedziała otulona w chusteczkę córka.

— Ależ ty ten zgon naprawdę odczułaś, Maniutko? — rzekła, wpatrując się w twarz dziewczęcia, rumieniącą się i blednącą naprzemian, widocznie pod wpływem przewijających się przez główkę myśli.

Córka wyciągnęła zpod chusteczki obie dłonie i zaplotła je na ramionach matki, zmuszając ją tym sposobem do zabrania miejsca na tej samej kozetce.

— Maniutko!

Pocałunek dziewczyny był narazie jedyną odpowiedzią na ten serdeczny okrzyk matczynego serca.

— Tak mi go żal, mamusi! — rzekła wreszcie cichutko, a łyzy zamgliły jej niebieskie oczy.

I znów mały budnarek zaległa cisza.

Dopiero po chwili dziewczę, zepsute pieszczotami, a mimo to naturalne i przywykłe do bezgranicznej szczerości, kryjąc twarz na piersiach matki, odezwało się zcicha:

— Ale on... ten student... ten krewny pana Dąbrowskiego... on tu teraz przyjść musi, prawda?

I zanim pani Kamilla mogła cośkolwiek odpowiedzieć, Maniutka zawołała jeszcze:

— Żeby mamusia wiedziała, jaki on śliczny, jaki śliczny!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

W niedzielę ubiegłą pan Edmund Jankowski, redaktor „Ogrodnika polskiego,” wygłosił pierwszy z zapowiedzianych na dochód Osad rolnych odczytów „O kwiatach pokojowych.” Tłumnie zebrana publiczność owacyjnie przywitała mówcę i pożegnała też wielkimi salwami oklasków. I było za co, bo szanowny prelegent mówił pięknie, *kwiecieście* i barwnie; niewątpliwie potrafił szczerze zainteresować wszystkich. Wielkiego jednak błędu w układzie dopuścił się, według mnie, prelegent, mówiąc na końcu o tem, co powinnyby było znajdować się na wstępie; słuchaczki zapewne jeszcze z większym skupieniemby słuchały. Pan Jankowski opowiedział o jednym ze swoich przyjaciół, który, poszukując żony, przedewszystkiem patrzył na stan kwiatów w mieszkaniu, był bowiem zdania, że kobieta, co potrafi nie dać roślinie ani zwiegnąć, ani zgnić, ani stać się pastwą owadów, co nie zapomni obrócić jej kilkakrotnie chociażby, aby się cała w promieniach słońca skapała, co nie zniesie na niej suchego listka, potrafi zarazem ludźmi się opiekować.

Przystąpmy jednak wraz z prelegentem do rzeczy. Że widok roślinności raduje serca, najlepszym tego dowodem jest uczucie, z którym witamy pierwiosnki i fijołki, a nawet pierwsze wiosenne żdziebka traw, nie każdy zaś jest szczęśliwym posiadaczem ogrodu, szczególnie w zimie. Trafnie też obalił mówca zarzuty higienistów przeciw pielęgnowaniu w mieszkaniach tych, po kobietach najpiękniejszych, twórców Bożych (pan Jankowski tak jakoś o tem powiedział, jak gdyby nawet na korzyść kobiet i dzieci z pierwszeństwa kwiatów abdykować nie chciał).

Żeby rośliny nie okradały ludzi ze światła, dość jest nie zastawiać niemi wszystkich okien, oddając ich panowaniu jedno (lub dwa, zależnie od wielkości mieszkania i amatorstwa) i zmieniając je wmiarę możliwości w rodzaj szafy oszklonej, wystającej, jeśli stać amatora na łamanie lub odpowiednie przystosowywanie murów, nazewnątr. Taką szafę możnaby na noc zamykać, przeszkadzając w ten sposób wydzielanemu przez rośliny kwasowi węglanemu wytwarzać zaduch w mieszkaniu. W każdym jednak razie, według zdania pana Jankowskiego, ten drugi zarzut upaść musi ze względu na to, że wydzielając wciąż dnia tlen rośliny, najzupełniej poprawiają to, co w nocy zbroiły.

Aby znów rośliny nie zawilgocąły mieszkania, trzeba, żeby doniczka każda opatrzona była podstawką, lub żeby wszystkie rośliny miały jeden duży blaszany basen, w kształcie żardynierki, opatrzonej udołu kranem do spuszczenia ściekającej przez dolne otwory doniczek wody. Wszystkie rośliny, nie rozrzucając ich po wszystkich pokojach i kątach, należy trzymać razem w jednym miejscu, na takiej właśnie żardynierce lub w szafie.

Co się zaś tyczy tej wilgoci, którą rośliny wydają z oddechem, to jest ona najzupełniej pożyteczna dla ludzi, szczególnie zaś w zimie, kiedy palenie w piecach i dłuższe palenie lamp wysusza w bardzo szkodliwy dla zdrowia sposób powietrze pokojowe.

Prelegent nie zapomniiał ostrzedz obdarzonych wysoko rozwiniętym poczuciem estetycznym pań, o wszelkiego rodzaju doniczkach niezwykłych, zalecając używać jedynie opatrzonych otworami udołu, najprostszymi, z gliny palonej i to niepolewanej ani wewnątrz, ani zewnątrz. Korzenie rośliny szukają powietrza i dlatego wszystkie zawsze wychodzą ku obwodowi; glina palona przepuszcza je właśnie.

Najgroźniejszym, a zawsze niemal zwyciężkim wrogiem roślin w mieszkaniu jest gaz. Gdzie on się pali, tam dla dziatwy Flory „niema nadziei,” wypala on bowiem tlen w powietrzu, wytwarza rozmaitemi wyziewami szkodliwy zaduch, skutkiem też jego bywa wysoka temperatura, drugi wróg roślin, nasyłający na nie owady, od których starannie oczyszczać je trzeba. Wogóle pan Jankowski jest zdania, że niebezpieczniejszą jest daleko dla kwiatów zbyt wysoka, aniżeli zbyt niska temperatura. Zabezpieczyć się od trzeciego ich wroga, kurzu, można czystością przede wszystkim w mieszkaniu, częstym przewietrzaniem, a wreszcie myciem roślin zapomocą miękkiej gąbki letnią wodą przynajmniej codziennie.

Skończywszy z wrogami, przystąpmy do tego, czego kwiaty niezbędnie potrzebują. Przedewszystkiem światła. Celują pod względem wygórowanych w tym względzie wymagań rośliny, które ojczyzna darzyła nieustannie ognistymi potokami promieni boskiego słońca. Czyż nie na każdym kroku wędna tak samo ludzkie kwiaty, nawykłe od dzieciństwa do światła i ciepła miłości, a które życie próbuje darzyć następnie mrokiem i chłodem? Do takich wymagających kobiet wśród roślin należą obdarzone liśćmi miękkimi, kosmatymi i kolorowymi, kobietą zaś *par excellence* jest bluszcz, który gotów jest wic się, zielenić i rozweselać nawet ciemne zakątki.

Można z niego nawet tworzyć rozmaite girlandy, festony, ramy do luster i obrazów, a to puszczając kilka łądyg z pozawieszanych odpowiednio doniczek.

Dalej paprocie, które w naturze szukają cienia lasów, rośliny iglaste, draceny i t. d.

W mocy dyletantów nie jest przysposabiać ziemię najzupełniej odpowiednią dla wszystkich roślin, z których jedna rośnie na skałach górskich, a druga w bagnistych dolinach, mogą oni jednak odnawiać powoli ziemię w doniczkach przez zeskrobywanie i dosypywanie i nawozić ją chociażby opilkami rogowymi.

Teraz przystąpimy do rzeczy, o którą najwięcej dobrych chęci amateerek kwiatów pokojowych się rozbiła, do polewania. Przedewszystkiem jak poznać, czy doniczka dość czy niedość wody wypija? Najpraktyczniejszy sposób: wcisnąć piękny swój paluszek, czytelniczko, w ziemię, z której soki życia czerpie twa siostrzyca, ustrojona przez najlepszą modniarkę (adres jej podawać byłoby krzywdę czynić pismu). Kolor ziemi, jaśniejszej lub ciemniejszej często od natury, łatwo może w błąd wprowadzić, zaś ostukiwanie doniczki wymaga wprawy. Do polewania najstosowniejszą porą jest ranek, lub wreszcie czas przed wieczorem; do zraszania tylko ranek.

Należy przytem zwracać uwagę na to, czy woda ścieka przez dolny otwór, zdarza się bowiem, że obficie nalanej wody zeschła ziemia nie przepuszcza do wnętrza. Wyższa temperatura ogólnie potrzebuje obfitego stosunkowo polewania. Następnie roślina rosnąca i rozwijająca się więcej potrzebuje wody. Jeśli zeschła ziemia wskazuje, że polać czas, to znów rozrastanie się grzybków lub mchu na niej dowodzą, że trzeba roślinę trochę wysuszyć.

Dalej rośliny różnych rodzajów różne mają co do ilości wody wymagania. Skórkowate, o liściach tęgich, mniej sobie z polewania robią. Te, których ojczyzną są strefy gorące, miejscowości mało zasilane deszczem, które wypuszczają nawet powietrzne do picia wilgoci korzonki, bardzo długi często czas mogą się bez wody obchodzić.

Wiele wody potrzebują cebulkowate; dobrze jest, żeby podczas wzrastania miały one ciągle trochę wody na podstawie. Obfitego też i częstego polewania potrzebują begonie, pelargonie (angielska) i wreszcie bluszcz, któremu nie starannego pielęgnowania w tym względzie nie zastąpi, nie ma on bowiem łez, jak kobieta: rośliny płaczą tylko łzami nieba, rosą.

Jeśli tylko roślina zółknie i więdnę, należy ją przesadzić, bez względu na porę roku. Lepiej jest jednak zaufać w tym względzie wytrawnemu i sumiennemu ogrodnikowi, gdyż robota ta wymaga pewnej wiedzy, wprawy i staranności. Rozprowadzać rośliny w domu albo jest bardzo trudno, lub się nie opłaci, kupować zaś najlepiej w drugiej połowie lata; roślina wówczas ma dość czasu do przywykania stopniowego do nowych, nie do jej istnienia wyłącznie przystosowanych warunków bytu.

Nie radzi też prelegent rzucać się konieczne na rzadkie i trudne do chowu kwiaty i rośliny. Lepiej jest mieć piękne i zdrowe pelargonie, begonie, mirty, bluszcze, fuksye, niż wycieńczone i konające kaleki azalie, rododendrony i palmy. Przy wyborze należy się liczyć z siłami i możliwościami do zaopiarowania kwiatom warunkami bytu w nowym ich mieszkaniu.

Gdybym potrzebował streścić odczyt pana Jankowskiego w kilku słowach, powiedziałbym: „kochaj kwiaty i umiej się z nimi obchodzić.”

Ciekaw jestem wielce, co należy myśleć o owym przyjacielu wymownego prelegenta?...

J. N.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Pomiędzy listami, nadesłanymi do redakcyi naszej, znalazł się jeden, którego autorka tryumfalnie wygłasza następujące słowa: „Pełno ich (kobiet) wszędzie i na wszystkich szczeblach pracy. W każdym sklepie, w każdym kantorze, w każdym biurze spotyka się dzisiaj pracownice, bez których już obywać się na przyszłość nie byłoby możliwem...” „Są tacy, co z zawiścią patrzą na to, jak mówią, *wcisnąć się*, ale trzeba się pogodzić z faktem dokonanym: tak być musi i to się już nie odstanie!”

Bardzo byłoby to pięknie, gdyby to wszystko przyszło naturalną rzeczą koleją, ale tak, niestety, nie jest. Kiedy mężczyzna zostaje lekarzem lub artystą, uczonym albo kupcem, rolnikiem czy rzemieślnikiem, przygotowuje się do przyszłego zawodu długo i mozolnie, a w wielu razach nie bez dobrowolnego wyboru, dla którego fundamentem było zamięłowanie.

Ale kiedy kobieta siedzi za kantorkiem w cukierni jako kasyerka, w biurze jako ekspedytorka, w handlu jako sklepowa... doprawdy, czyni to chyba tylko dla chleba i bez wyboru, bez powołania i zamięłowania. Pracuje, aby żyć, bo do pracy zmusza ją pozycja towarzyska i rodzinna, pracuje na siebie, często na dzieci swoje i na rodzinę, nie zaś dlatego, aby praca była celem życia i potrzebą człowieczeństwa.

Z całej masy kobiet w Warszawie nie potrafiłoby niezawodnie wskazać wyjątków dziesięciu, które pracują przez miłość dla pracy, nie potrzebując zarobku.

Potrzeba ta zresztą w niczem nie umniejsza wartości moralnej pracy kobiet. Jest ona z ich strony w wielu bardzo przypadkach szczytną ofiarą poświęcenia, ale wynika nie z jakiejś ogólniepostawionej i przyjętej zasady, lecz z konieczności gniołającej jednostkę.

Możność też „wciskania się” na rozmaite stanowiska nie jest bynajmniej symptomem upoważniającym do tryumfalnych frazesów; możność ta jest pro prostu tylko następstwem upadku ekonomicznego, który sprawia, iż droższą pracę mężczyzny zastępuje tańsza praca kobiety. Wszystkie też, które pracują i zarabiają, wiedzą o tem doskonale, iż są *wyzyskiwane*. Płaci się im za ich robotę źle, dyktuje się im obowiązki często nad siły, ale bardzo rzadko kiedy wymaga się od nich przygotowań specjalnych. I są też dzisiaj buchalterki bez znajomości buchalteryi, kasyerki bez umiejętności liczenia, korespondentki które pisać nie umieją, sklepowe które o handlu nie słyszały nic w żadnej szkole. Jest tedy proletaryat pracy niewieściej, nieprzygotowany, nieuzdolniony, niewykwalifikowany, choć zapracowany uczciwie i nieuczciwie wyzyskiwany.

Jesteśmy zupełnie pewni, że gdyby pozycja tych mozolających się robotnic poprawiła się majątkowo, wszystkie one cofnęłyby się do zacisza domowego, do najmiłszej dla siebie i najwłaściwszej pracy dla rodziny i w rodzinie. Wówczas przysłoby dzisiejsze złudzenie emancypacji i postępu, które tak fałszywie okrywa pozorami sprawę ciężką i smutną. Och, bardzo smutną!

Widzieliśmy jedną z takich pracownic w chwili, w której duszą i sercem nie mogła być przy odrabianej czynności. Po bladej twarzy spływały jej

łyż niepokoju i trwogi, godziny i minuty wlokły się dla niej jak wieczność, która się nigdy kończyć nie ma.

To była matka, która dla zarobku porzucić musiała chore dziecię, bez opieki, bez czujnego a życzliwego oka. Praca jej była strasliwym jarzmem, dźwiganem z rozpaczą. Były to kajdany, krępujące jej macierzyńskie serce bez litości i zmiłowania.

Mężczyźni bywają także w położeniach podobnych, ale mężczyźni przygotowują się do nich i nie bywają odrywani od spraw dla siebie najważniejszych przez konieczność ostateczną. Dla nich praca bywa bardzo często rozkoszą, zaspokojeniem powołania, drogą do sławy, do zasługi, do majątku, środkiem zdobycia niezależności ukochanym... Kobieta-pracownica w warunkach obecnych nie posiada ani jednej z tych pociech. Wie, że jest źle płatną, że stanowi w szeregach roboczych *malum necessarium*, że znajduje się w nich tylko zastępczo, że każde jutro jej jest niepewne, że poza dniem dzisiejszym niema dla niej widoków na przyszłość, że pierwsza lepsza niemoc odbierze jej wszystko, że najmniejszy sił upadek usunie jej grunt pod nogami. A dlatego los tych dzisiejszych kasyerek, ekspedytorek, buchalterek, sklepowych i t. d., jest niepewny i nad wyraz smutny, jak smutną jest wszelka nietrwałość i wszystko to, co chwiać się musi na wietrze, jak wąż trzcina.

Mówiąc to wszystko, dajemy tylko wierny wizerunek rzeczywistości, nie czynimy tego jednak w zamiarze zniechęcenia kobiet do pracy i zarobku. Chcemy tylko odmalowaniem prawdy ostudzić zbyt uczuciowy i pod wielu względami szkodliwy zapal tych, które, jak wspomniana na początku korespondentka nasza, wykrzykują zwycięsko: „Są tacy, co z zawiścią patrzą na to... ale tak być musi i to się już nie odstanie!”

Niema ojca rodziny, któryby nie zadrżał z bólu i trwogi na myśl, że jego ukochane dziecię będzie kiedyś śleczęło w zimnym, ciemnym kącie jakiegoś sklepu w charakterze *niby* kasyerki, lub buchalterki. Niema takiego męża (oczywiście uczciwego i rozumnego), któryby ze ściśniętym sercem nie żegnał żony, odchodzącej na ciężki zarobek.

Niema wreszcie i takiego człowieka, rozumiejącego rzeczywistość, któryby bez żalu i politowania nie pomyślał o tłumach kobiet, wędrujących i schnących w trudzie, w wyzysku, ujarzmionych pracą bez celu, zamiłowania i powołania. Nie zawiść to mężczyźni, która każe im się odzywać z niechęcią o pracy kobiet, ale żal, żal szczerzy i głęboki, że ich własne ramiona nie wystarczają do podźwignięcia wszystkich ciężarów rodzinnych.

Taka to jest właściwie odwrotna strona medalu, w wyobraźni szlachetnych entuzjastek błyszczącego tak świetnie. Gniotąca konieczność ekonomiczna nie powinna być powodem do tryumfowania, które naprawdę nie ma racji. Dopóki bowiem kobiety od lat najwcześniejszych nie będą szły za głosem powołania i nie będą przygotowywały się systematycznie do przyszłych zawodów, dopóty cieszyć się nie należy. Przypadkowe *robotnictwo*, spowodowane potrzebą, dalekie od jakiegokolwiek specjalności, nieprzystępne dla wyboru dobrowolnego, to jeszcze nie praca, nie postęp i nie zwycięstwo. W tych najrozliczniejszych robotach, które dzisiaj uprawiają kobiety, niema nic, coby pozwalało spożytkować ich wrodzone i osobiste zdolności, coby zadawało instynktu umysłu, coby kobiecym myśleniem i sercem rozwijać się i mężniec pozwalało. Mdleją ręce od pracy, tępieją mózgi od machi-

nalnego wyrobku, schną serca od gnębiącej nudy i wysiłku, ale to wszystko nie prowadzi naprzód i cieszyć się rozsądnie nie pozwala.

K.

Nagoda.

ZA CZARNE OCZY.

NOWELA.

(Dalszy ciąg.)

Trzy długie miesiące ostrych mrozów i śnieżnych zawię upłynęły jak jeden pogodny dzień wiosenny dla młodych małżonków. Pani Ewa miała nieustannie uśmiech na ustach i od rana do wieczora szczebiocząc i podśpiewując, jak ptaszek w klatce, kręciła się po maleńkich, ale ślicznie urządzonych pokojach swojej willi. Mąż patrzył na nią z zachwytem i od czasu do czasu pocałunkiem lub słodkim słówkiem podsyczał te uśmiechy i szczebioty. Czasem, rzadko bardzo, ona dla rozmaitości zabierała się do gospodarstwa, dzwoniąc kluczykami i przymierzając dziesięć rozmaitych fartuszków, on zaś otwierał poważne dzieło ekonomiczne, albo też rachunki z gospodarstwa w Wolczowej; ale praca mu nie szła, ledwie przeliczył jedną kolumnę cyfr, już Ewa odwoływała go, szukając jego pomocy, bez której się ani chwili obyć nie mogła.

Szarą godziną wesołe dźwięki walca rozlegały się w mieszkaniu. Ewa, uderzając w klawisze, dopomagała sobie nuceniem, a Mieczysław siadywał na niskiej kanapie obok fortepianu i widocznie muzyka, czy może tajemniczy mrok, zapełniający pokój, najpoważniej go usposabiała, bo czasem, zamiast wtórować żonie w śpiewie, opierał głowę na rękę i zamyslał się.

O - czem?... Ewa pytała go o to kilka razy, ale jej nie odpowiadał.

Ona też nie nalegała; wiedziała przecież, że nie mógł myśleć o czem innem, jak o swej ślicznej żonie i o wspólnym, niezmiernym szczęściu. Wszak ona sama chwilami ledwie zmieścić mogła w sercu cały ogrom przepełniającego ją uczucia niewysłowionej radości, które od trzech miesięcy gościło w jej piersi i miało już tam pozostać przez całe długie życie.

Nareszcie pewnego rana słońce rzuciło złote blaski do tego przybytku szczęścia, który nawet bez słonecznych promieni był istnym rajem. Ewa zerwała się od śniadania i z dziecinną radością zaczęła tańczyć po pokoju, klaszcząc w ręce i nucąc wesoło:

— Wiosna! wiosna! pójdziemy na spacer! dobrze Mieciu? pójdziemy piechotą, ja w zielonym kostiumie, a ty w jasnym paltocie... na spacer, na spacer!

— I owszem, dziecko! idźmy, choćby zaraz jestem na twoje rozkazy.

— O przepraszam, nie zaraz! ja się przecie muszę ubrać. Czy sądzisz, że to pójdzie tak prędko ubrać się w wiosenny kostium, którego jeszcze ani razu nie miałam na sobie?

— Może ci pomódz?

— Ślicznie dziękuję! już ja wolę pomoc Teofilu; ty siedź spokojnie i czytaj sobie gazety, dopóki, stanawszy przed tobą, nie powiem: patrz i uwielbiaj.

— Ten dodatek niepotrzebny; znam przecież swoje obowiązki i od rana do wieczora tylko uwielbiam. Tembardziej też, gdy zobaczę cię w wiosennym kostiumie.

— Proszę nie żartować; kostium przesliczny! cała spódnica z pluszu.

— Więc będę oczarowany!

* * *

Pan Mieczysław dotrzymał obietnicy: był zachwycony kostiumem, kapeluszem i uśmiechającą się z pod szerokiego ronda różową twarzyczką.

Spacer udał się im wybornie. Spotkali mnóstwo znajomych; nieznajomi oglądali się za nimi, mówiąc: co za śliczna para! Wstąpili do cukierni, gdzie hrabina Melania „zrobiła im miejsce” przy swoim stoliku i na pożegnanie rzekła Ewie: Jak pani teraz ślicznie wygląda!... le bonheur vous va!

Nareszcie byli już na swojej ulicy; zgiełk i turkot powozów pozostały za nimi w środku miasta. Ewa, upojona wiosennym powietrzem, szła powoli, zwierając się mężowi z planami wycieczek i spacerów, jakie umyśliła sobie odbyć przed wyjazdem na wieś.

Naprzeciw nich szły dwie kobiety, prowadzące się także pod rękę, ale nie tak strojne i świetne, jak pani Ewa. Starsza z tych kobiet miała twarz zwiędłą i pomarszczoną, ramiona jej pochylone i wzrok przykuty do ziemi nadawały jej postaci wymowny wyraz przygnębienia. Młodsza, wysoka, szczupła, ubrana bardzo skromnie, postępowała z głową wzniesioną dogóry, z oczyma zwróconymi wprost przed siebie, jak gdyby ściagała jakiś oddalony przedmiot.

Gdy się obie te pary mijały, Ewa zauważyła, że podniesiona dogóry główka i blada twarz młodej dziewczyny miały zarys dziwnie szlachetny, a ogromne czarne oczy, utkwione z takim napięciem w punkt jeden, ocienione były długimi ciemnymi rzęsami i łukiem brwi, w których pędzel najklasyczniejszego malarza nie znalazłby nic do poprawienia.

Mieczysław musiał zauważyć to samo, bo obejrzał się za przechodzącymi z wielkim zajęciem.

— Kto to taki?... Czy je znasz może? — spytała skwapliwie Ewa.

— Nie; z kądzęby?... Widzę je po raz pierwszy.

— Ładna, nieprawdaż?...

— Być może. Nie zauważyłem.

Pani Ewa była z tej odpowiedzi niezbyt zadowolona.

— Nie zauważył, doprawdy?... a przecież oglądał się jakby coś najciekawszego zobaczył. Mężczyznom się zdaje, że kobiety nic nie widzą i nie uważają.

* * *

Po obiedzie dnia tego Ewa, znużona długą przechadzką, zasnęła na kanapie; dziennik trzymany w ręku upadł na ziemię, a głowa w malowniczy sposób oparła się na ciemno-zielonych pluszowych poduszkach. Mieczysław przypatrywał jej się chwilę z tkliwym uśmiechem, wreszcie podniósł dziennik, złożył go cichutko i na palcach wysunął się z pokoju.

Ewa spała długo, zbudził ją promień zachodzącego słońca, który, przekradłszy się przez firanki, złoty i ciepły położył się na jej powiekach. Zerwała się, jakby się czem przelekła; w całym domu pa-

nowała tak niezwykła cisza; gdzież Miecio? czyżby wyszedł i zostawił ją samą?

Nie, otóż jest! siedzi przy swoim biurku pochylony nad książką i tak zaczytany, że nie słyszy lek- kich kroków żony zbliżającej się do niego. Ach! — wydał lekki okrzyk przestachu, bo nagle książka znikła mu z przed oczu, a zamiast niej czuje na po- wiekach i czole dotknięcie miękkich paluszków.

— Czy to ładnie pozwolić mi przespać taki śli- czny dzień Boży?... Mielśmy przecie wyjechać do ogrodu... a tymczasem ja spałam, a ty nudziłeś się tutaj!

— O, ja... nie... to jest... czytałem sobie tro- chę...

— A jaką to książkę mój pan tak studiował? Proszę mi pokazać... Może co niestosownego?...

Mieczysław lekko przytrzymał książkę.

— Po niemiecku, nie rozumiesz — odparł z odro- biną niezadowolenia w głosie.

— Jakto? ja nie rozumiem po niemiecku? Czyż nie wiesz, że skończyłam celującą ósmą klasę u pa- ni Z.? Ja nie rozumiem!

Śmiejąc się wpół, a wpół obrażona, wyciągnęła mu z ręki książkę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zakład Świętej Marty.

Z początkiem drugiej połowy bieżącego stulecia, w wyobrażeniach inteligentniejszych warstw spo- łeczeństwa naszego obudził się pewien zwrot pod względem zapatrywania się na prace rękodzielni- cze.

Gdy bowiem przedtem, zwłaszcza dla piękniej- szej połowy rodzaju ludzkiego, jakiegokolwiek rzemio- sło, albo zarobkowanie pracą rąk, uważane było niemal za uwłaczające godności osobistej córek oby- wateli i urzędników, gdy zasada, iż szkoda wy- kształcenia naukowego na to, aby zostać rzemieślni- kiem lub szwaczką, należała do artykułów wiary — potrzeba było zaledwie lat paru, aby pojęcia te, bez żadnych nawoływań, tak dalece się zmieniły, iż pra- ce ręczne zaczęły być szanowane, a nietylko mło- dzież płci obojej, lecz nawet mężatki i wdowy, dla zabezpieczenia sobie na wszelki wypadek bytu, gar- nąć się do nich poczęły.

Bezczyntne więc dotychczas panie i panny nasze, w drobnych i delikatnych rączkach których można było widzieć tylko zwykłe książkę do czytania, a rzadko bardzo krosienka, zwróciły się ku pracy ręcznej i zapragnęły uczyć się szycia bieleziny, rękawiczek, roboty kwiatów sztucznych, oraz sukien i strojów.

Na zawadzie w tem stała wszakże jedna dość wa- żna okoliczność.

Poziom umysłowy i moralny ówczesnych szwa- czek i kwaciarek był tak niski, że zwłaszcza dla młodych dobrze wychowanych pańienek, pragnących w pracy rąk znaleźć dla siebie sposób zarobkowa- nia, łączenie się z tą klasą przy wspólnej nauce by- ło nie już nieodpowiedniem, ale wprost niemożeb- nym.

Obmyślenie przeto środka umożliwiającego nau- kę robót ręcznych dla pańienek z niezamożnych a znacznych domów stało się kwestyą czasu, kwestyą ważną i niecierpiącą zwłoki.

Wówczas to, dama wielkiego umysłu i serca, nie- zapomnianej nigdy pamięci hr. Hortensya Mała- chowska, celem przyjsia z pomocą osobom płci żeń- skiej, pragnącym uczyć się robót ręcznych, a mia- nowicie szycia bieleziny, haftów i t. p. oraz szukają- cym i potrzebującym zarobku, wyjednała u ówczes- nych władz krajowych pozwolenie na urządzenie i otworzenie pracowni dla kobiet pod nazwą „Ś-tej Marty.”

Prawdziwie dobroczynny i pożyteczny ten zakład otworzony został z decyzji Namiestnika Królestwa w początku roku 1854, kosztem fundatorek, do gro- na których, oprócz głównej inicjatorce i założyciel- ki, weszły panie: ks. Czetwertyńska, ks. Gorcza- kow, Hołowińska, Halpertowa, hr. Kossakowska, Karwicka Celina, hr. Krasieńska Adamowa, hr. Kra- sińska Karolowa, Kochańska doktorowa, Lasocka, Makomaska, hr. Potocka Augustowa, hr. Potocka Maurycowa, hr. Potocka Stanisławowa, hr. Prze- ździecka, Pusłowska Julia, ks. Radziwiłłowa Mi- chałowa, Rastawiecka, Rawiczowa, Rembielińska, hr. Rzewuska Taida, hr. Stadnicka, hr. Szembeko- wa, Sobańska, ks. Woroniecka, hr. Walewska, Woj- ciechowska, Zacharkiewiczowa i Zawiszyna. Panie te złożyły komitet zarządzający tą nową instytu- cyą.

Z ofiar składanych przez wymienione wyżej opie- kunki, sprawiono wszystkie potrzebne meble i przy- rzędy, wynajęto i w odpowiedni sposób urządzono lokal i niebawem zakład zapełnił się żądnymi nau- czenia się praktycznych robót dziewczątkami od lat 10 wieku, oraz pańienkami dorosłymi i wogóle ko- bietami poszukującymi środków utrzymania w uczci- wej pracy, w liczbie dochodzącej do pięćdziesięciu osób.

Czas pracy oznaczono od godziny 8 rano do 6 wieczorem, z pauzą jednogodzinną od 12 do 1 w po- łudnie. Nauka robót, pod ciągłym i bezpośrednim nadzorem przełożonej zakładu, była od samego po- czątku, jak również i dotychczas jest bezpłatną, uczennice zaś bez żadnego ograniczenia terminu, skoro tylko okażą dostateczne uzdolnienie w robo- cie, pobierają zapłatę, która pierwotnie wynosiła od rs. 6 do 9 miesięcznie, w następstwie zaś zwięk- szoną była stopniowo o tyle, iż zarobek stałych pra- cownic wynosi obecnie od 10 do 25 rubli miesięcz- nie.

Komitet pań trwał blisko lat 10, a wciągu te- go okresu, oprócz nieustannej opieki nad praco- wnicami, wraz choroby lub jakiego innego wy- padku i niepowodzenia, przychodził im zawsze z po- mocą przez udzielanie odpowiednich zasiłków.

Z upływem jednak czasu, gdy zakład wzniósł się o tyle, że mógł już istnieć o własnych siłach, a ofia- ry pieniężne opiekunek stały się niepotrzebnymi, składki ustały i tym sposobem wszelkie wydatki na utrzymanie zakładu, załatwianemi być za- częły z wpływów, za uskutecznione roboty pobiera- nych.

Z chwilą rozwiązania się komitetu pań, całkowita opieka nad instytucyą pozostała w rękach hr. Hor- tensyi Małachowskiej i hr. Augustowej Potockiej, po śmierci zaś nieodżałowanej założycielki i prote- ktorki rzeczonyj instytucyi, hr. Małachowskiej, miej- sce jej zajęła p. Marya z hr. de Broel-Platerów ks. Czetwertyńska Stanisława.

Pierwszą przełożoną zakładu w latach 1884 i 1885 była p. Krzywicka, następnie przez lat 8 obo- wiązki przełożonej sprawowała p. Wiktorya Trzeź- ska, od roku zaś 1863 do dnia dzisiejszego przez lat 28 stanowisko to zajmuje p. Marya Górka, pod kierunkiem której ta wielce pożyteczna instytucja stała się rzeczywiście wzorem dla innych tego ro-

dzaju zakładów, a w okresie całkowitej 38-letniej swej działalności wykształciła w pracach ręcznych około 2,000 kobiet.

Specyalnością zakładu jest szycie bieleziny dam- skiej i męskiej, wykończanie całkowitych wypraw, znaczenie bieleziny, wszelkiego rodzaju hafty, tak zwyczajne, jak również pelami, złotem i srebrem, na płótnie, batyste, atłasie i aksamicie, wreszcie ubiory kościelne.

Zakład przyjmuje do wykonania roboty w zakres wymienionych prac wchodzące, wykończa je na miejscu, lub też oddaje stałym swoim pracownikom do domów. Z pobranych należności reguluje ceny pracy tak, iż po opłaceniu koniecznych, a w każdym razie bardzo umiarkowanych wydatków, wypłata za samą robociznę wynosi około 1000 rubli tygodnio- wo, pozostająca zaś z roku na rok superata nie przenosi nigdy 200 rubli.

Dodać tu należy, iż mylnem jest zdanie, jakoby zakład przyjmował tylko znaczniejsze zamówienia robót, przeciwnie bowiem, stara się zadość czynić wszystkim bez wyjątku najmnieszym zapotrzebo- waniom publiczności i wykonywa wszelkie najtańsze nawet roboty.

Prace pochodzące z zakładu Ś-tej Marty dokła- dnem i pięknem wykończeniem zwróciły na siebie uwagę na wystawie robót kobiecych w Glasgowie, oraz na dwóch takichże wystawach w Warszawie, za co nagrodzone zostały dwoma złotymi medalami i listem pochwalnym, pozyskawszy nadto liczne od zwiedzających te wystawy zamówienia.

B. A. Grab.



Pan Bronisław Grabowski, autor wielu utworów literackich i scenicz- nych, wydał świeżo, nakładem Wł. L. Anczyca i spółki w Krakowie, dra-

mat pięcioaktowy z prologiem, p. t. „Boruta.” Rzecz osnuta na podaniu znanem o dyable, który pod tą nazwą miał ongi siedzieć w lochach zamku łączyc- kiego i o którym miejscowa tradycja opowiada wie- le uciechnych bajek. Boruta oczywiście jest dy- abłem pojętym na sposób miejscowy: rąbie się na zawołanie, krzyczy, hałasuje, do awantury pochop- ny, a pije jak smok, nie już garncowym roztruha- nem, ale calusieńką beczką. Kiedy się ludzie dzi- wią jego gardłu, gotów jest eksperyment powtórzyć wnet, na zasadzie *bis repetita placet*. Jest, ma się rozumieć, karmazynem, a w lochach swoich przewa- la się na worach złota pełnych, przy chórze puszczy- ków, sów, nietoperzy i zaświatowych tanecznici, któ- re na jedno jego skinienie wylazą zpod ziemi do wesołego korowodu.

Treść dramatu polega na tem, że szlachcic łączyc- ki, Łoński, wielki, z przeproszeniem, niepoń i golec, zakochał się na umór w pannie skarbnikównie. Oj- ciec go rekuza poczęstował i za kogo innego wydać umyślił, a odpalony konkurent z rozpacz z Boru- tą się pokumał, duszę piekłu zaprzędał i na boga- tego wyszedł pana przy pomocy skarbów z lochu zamkowego. Dyabli go potem zabrali jak swego, prochy w zamku podpaliła opuszczona przezeń ko- chanka i wszystko w powietrze wyleciało, a kto